

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

„Golgota ludów austriackich”

O Grajgórze czyli Spielbergu, tej „Golgocie ludów austriackich”, istnieje już cała bogata literatura. Najbardziej wstrząsający jej opis dał Silvio Pellico w swym dziele „Le mie prigioni”. Spędził on tam ośm długich lat niewysłowionych tortur i katuszy, wychodząc w roku 1830 na świat jako schorzał i zupełnie złamany starzec.

Podziemna kazamata, w której, okuty w kajdany, więziony był dopóki skutkiem choroby nie przeniesiono go do lepszej celi na I. piętrze, — podobnie jak i ta ostatnia celi — są dziś otaczane specjalnie troskliwą opieką Włochów, dbających z całym pietysmem o zachowanie w nienaruszonym stanie tych dokumentów ich martyrologii.

Brak jednak w Grajgórze dotychczas osobnego oddziału polskiego. A przecież polscy więźniowie stanu zahadniali przez szereg lat ponure kazamaty grajgórskiego więzienia! Pierwszych polskich przestępców osadzono w Grajgórze w roku 1829 — na podstawie dekretu kancelarii nadwornej z 25 kwietnia tegoż roku.

Dopiero jednak począwszy od roku 1845 zaczęli tam przybywać niemal masowo polscy przestępcy polityczni. A było ich tak dużo, iż okazała się potrzeba dobudowania osobnego skrzydła przy tzw. trakcie Józefińskim, które też otrzymało nazwę „galizische Abtheilung”. Od tego czasu niemal nie zamykały się bramy więzienia na przyjęcie nowych więźniów z Galicji, — największy ich napływ przypada na rok 1847.

Jak podaje czeski historyk Zd. Hajek w swej broszurce: „Spielberk v memoarech polskich vėznu” (Praga 1930) było ich ogółem 192, z czego 151 — dzyskało wolność dzięki amnestii w 1848 roku. Nie doczekał amnestii Henryk Hubicki, a nie zostali objęci aktem amnestii więźniowie Erazm Czajkowski, Justyn Begejowicz (skazani za zamach na Guttha w Przemyślu), Józef Siekierski i Leon Szymański (w broszurce Hajeka: Szymon Gorecki) — towarzyszy Kapuścińskiego w zamachu na starostę Markla w Pilźnie, oraz Władysław Czaplicki.

Uwolnionych ludność pobliskiego Berna witała owacyjnie, zasypując ich kwiatami i obnosząc na ramionach po mieście. Na dworcu berneńskim przemówił wówczas imieniem więźniów „wieszcz Grajgóry” młody Juliusz Goslar, — poczem pociąg wśród gromkich okrzyków „Es leben die Polen!” powiózł ich do utęsknionej Ojczyzny.

Unieśli oni ze sobą niezapomniane wspomnienia tych ciężkich dni, przeżytych w kazamatach Grajgóry. Wspomnienia te stanowią treść pamiętników, jakie spisali czterej więźniowie polscy:

Jan Alojzy Pruski („Więźniowie stanu z roku 1846 w Cytadeli Szpilberg”), Wł. Czaplicki: (Pamiętnik więźnia stanu), Henryk Bogdański: (Pamiętnik), oraz Robert Nabelak: (Pamiętnik więźnia stanu). Ta ostatnia praca, napisana w długi czas po uwolnieniu (wyd. w roku 1875) nie może uchodzić za poważny materiał źródłowy.

Najciekawsze bez wątpienia są pamiętniki J. A. Pruskiego, wydane w r. 1848, a więc spisane „na gorąco”, kiedy jeszcze w pamięci autora nie zatęchły świeże wspomnienia.

Niewielka broszura Pruskiego jest

dzisiaj prawdziwym białym krukiem” bibliograficznym. Pozwalamy sobie zatem zacytować z niej parę ustępów, korzystając z uprzejmości Archiwum m. Lwowa i jego dyrektora, dr. A. Czolowskiego.

Dnia 8-go 1847 r. wjechaliśmy w ponure i nagie mury fortecy Szpilbergu. Przed bramą zgromadzony lud ze łzami w oku żegnał nieszczęśliwe ofiary gwałtu i przewrotności, serce z żalu się rozpyślało w piersiach naszych widząc przed sobą śmierć moralną.

Zaledwie zawarto za nami bramy, z tłumem uzbrojonego żołdactwa otoczyły powozy krzyk przeraźliwy rozległ się do koła i uśmiech radości zajaśniał na twarzach katów nazwanych.

Po kilku godzinach odprowadzono nas do przeznaczonych więzień półtora łokcia w ziemię wklesłych, raczej do jaskiń niż do pomieszczeń dla ludzi podobnych. Ściany tych ciemnych i ponurych kazamat do połowy żółte z wilgoci, okna — raczej dziurami nazwać by mi je należało — wysoko umieszczone w murze wycięte, podwójnymi kraty i siatką z żelaznego drutu opatrzone, zaledwie tyle światła dopuszczały że od 10 do 2 godziny w dzień jasny i wypogodzony czytać można.

Więźniowie poddawani byli następnie przykrym i hańbiącym zabiegom: przebijano ich w strój więzienny, zgrzebną bielizną i niemieckie spencery w pasy, golono wasy brodę i głowę i nakładano kajdany.

Jedną z „ulg” wprowadzonych w roku 1837 było ograniczenie wagi kajdan do czterech funtów. Zasadniczo też mieli być polscy więźniowie stanu rozmieszczeni w górnych celach, gdzie wilgoć nie dawała się tak dotkliwie we znaki. Jak podaje Pruski, przesiedzieli jednak parę miesięcy w dolnych kazamatach a dopiero gdy zaczęły się choroby, — przeniesiono ich do suchych cel, gdzie mieszkało po czterech w jednej ubikacji.

Pozostały natomiast rozmaite nieludzkie kary na niesfornych, jak post, odosobnienie, bicie zamykanie w podziemnych lochach, i nałożenie kajdan na ręce i szyję. Przyznaje to i Hajek, który w broszurze swej stara się swych ziomków b. dozorców więzienia, przedstawiać w możliwie korzystnym świetle. Wśród tych ostatnich przesadną gorliwością i bezwzględnością odznaczał się Franciszek Thuma, Czech rodem z Berna, „provisorischer Untervorsteher”, — oraz naczelnik więzienia Józef von Adelburg, — obaj niejednokrotnie wspomniani w pamiętnikach polskich więźniów.

Zobaczmy teraz, jaki był dzienny tryb życia więźniów. Strój więzienny, — kajdany na nogach (nie zdejmowano ich nigdy, nawet chorem więźniom!). Wikt dostawali lepszy niż zwykli zbrodniarze — rząd wyznaczył na osobę więźnia 25 krajcarów dziennie! Jedzenie składało się, jak podaje Pruski, z dwóch garnuszków polewki, mleka lub rosółu rano i wieczór, — oraz z obiadu:

W czasie obiadu, około godziny 11. ej kładliśmy deszczulki na łóżka nasze, a na tych stawiano nam 3 kufle z żelaznej blachy, napelnione przysmakami tj. rosółem wyżej wymienionym mięsem, które po największej części w stan rozbioru chemicznego przechodziło i jeszcze trzęsiej regularnym porządkiem tygodniowym co dzień odmienianej potrawy jako to klusek z makiem knydli, kartofli i kaszy.

Zdawałoby się zatem, że na jedzenie nie mogli się więźniowie zbyt użalać. Przyznaje to i Pruski, dodając jednak:

„I w samej rzeczy mogło być jeżenie przyzwoite, jednakże niechęć utrzymywać lecz jest podobieństwo, że biedna traktiernicza nie jedną setką maściła owe sławne knydle na kształt głów kocich dni 14 w żołądku leżących”.

Używanie „tabaku” dozwolone było wyjątkowo, na ordynację lekarską „sub nomine medicinae”.

Gorszą jeszcze torturą był brak jakichkolwiek stosunków ze światem zewnętrznym. Więźniom nie wolno było pisać, ani odbierać korespondencji, — jedyną ich lekturą były książki do nabeżnienia oraz dzieła z zakresu przyrody lub geografii, — jednak te ostatnie bez żadnych map.

Pewnem urozmaicheniem były dwur godzinne spacery po podwórzu więziennym, otoczonym wysokim murem. Poza tym więźniowie zajęci byli — robieniem welnianych pończoch, których jedną parę obowiązywał był każdy więzień zrobić tygodniowo. Kiedy brakowało welny, dostarczano więźniom słomy do piecenia kapeluszy.

Nie byli tylko więźniowie pozbawieni pociechy duchowej. Co tydzień odprawiali dla nich msze św. kapucyni O. Daniel Pokorny i B. Luczny, przy czym na organach przygrywał organista z Chocholowa Jan Andrusikiewicz, wraz ze swymi górami Jacentym Koisem, Jankiem Koisem i Jankiem Styrula. Mogli też więźniowie raz do roku przystępować do Stołu Pańskiego.

Służba lekarska natomiast była nieodpowiednia i niedbała. Ubolewa nad tem Pruski:

„nie pojmuje jak jedną i tą samą receptę 140 więźni na rozmaite słabości kurować można. O! jaby mi zwierzał nie powierzył, cóż dopiero ludzi!”

Toteż trzeba było bardzo poważnej obłożnej choroby, by więźniowi zdejmowano kajdany i zezwolono na lepszy wikt i pewne udogodnienia. Przyznaje to sam Hajek w swej broszurce, — stwierdzając temsamem że zasadniczo więźniowie nosili ciężkie kajdany dniem i nocą.

Nie wszyscy jednak dozorczy pozbawieni byli uczuć ludzkości. Toteż w poszczególnych oddziałach więźniom wolno było schodzić się i pewien czas przebywać wspólnie w jednej celi.

Dzięki tej okoliczności powstała w Grajgórze jedyna w swoim rodzaju, najoryginalniejsza pod słońcem „Rzeczpospolita grajgórka”.

Inicjatywa do stworzenia jej wyszła od Józefa Wysockiego. Dnia 1 stycznia 1848 zebrał się w jednej kaźni „posłowie”, reprezentujący około 40 więźniów z oddziału II, i tam, jak opisuje Pruski, „na mocy danej im instrukcji przez kolegów urządzono i urządzono statuta, już to na zewnątrz dotyczące się naszych wrogów już na wewnątrz, co się tyczy nas samych w celu zachowania wiecznej zgody i braterskiej miłości”.

Statut ów przewidywał: Izbę poselską z marszałkiem Izby, naczelnika władzy wykonawczej, wybranego większością głosów, dalej dwóch jego doradców, prokuratora sekretarza i sędziego pokoju.

Naczelnikiem, czyli prezesem rzeczywistej wybrany został Ignacy hr. Komorowski, właściciel Sasowa, wychowanek Krzemieńca, człowiek światły i wszechstronnie wykształcony. Był

on pozatem nauczycielem języka francuskiego i teorii leśnictwa.

Godność prokuratora piastował Władysław Domaradzki późniejszy notariusz w Dąbrowie, — sędzią pokoju był ks. Ludwik Gromadzki, zaś pierwszym marszałkiem Izby został Henryk Schmitt, znany historyk, który pozatem wykładał więźniom historię i geografję.

Jaki był cel i jakie założenia tej „rzeczypospolitej”? Określa go Pruski w swym pamiętniku temi słowy:

„ustanowić prawa obowiązujące nas działając wspólnie wśród naszej niewoli i z godnością człowieka zastosować się do przykrego położenia.”

Dlatego ustawy tego towarzystwa zalecają: zapomnienie wszelkich dawniejszych uraz, wyrażanie się przyzwoite, unikanie wszelkiej obmowy „tak w domu jak i za domem” zupełna tolerancja religijna, używanie w stosunkach wzajemnych tytułu „kolega” — i uszanowanie i bezwzględne posłuszeństwo władzy wykonawczej, jako reprezentacji woli ogółu i rozumu towarzystwa.

Nie zapomniano w statucie tym i o praktycznej stronie. Tak więc par. 5 mówi: „Ze względu na zdrowie wkłada się obowiązek, aby każdy używał przechadzki przynajmniej pół godziny rano i tyleż po południu, wyjąwszy wypadku słabości lub niedostatku odzieży i obuwiu”.

Wreszcie par. 10: „Dla towarzyszków znajdujących upodobanie w pogadance przeznacza się jedna izba na kasyno tym celem, aby uczącym się nie przeszkadzać”.

Coprawda, w „Kasynie” tem na nadmiar rozrywek użalać się więźniowie nie mogli. Nie wolno im było mieć papieru ani ołówka, nawet tabliczki i rysika; konfiskowano im bezapelacyjnie figurki szachowe czy warcabowe, lepiące z chleba. Jedyną zatem przyjemnością była pogadanka lub śpiewanie pieśni pobożnych, narodowych czy okolicznościowych. W komponowaniu tych ostatnich celował wspomniany już Juliusz Goslar, zwany „wieszczem Grajgóry”, młody, szczupły chłopiec, o łagodnym usposobieniu a żelaznym hartem ducha.

W takich oto warunkach bytowali polscy więźniowie w kazamatach Grajgóry, dopóki „wiosna ludów” nie przyniosła im utęsknionej wolności. A jaką opinią cieszyło się to straszne więzienie, świadczy, że już Mickiewicz w spowiedzi Robaka wspomina o nim:

„potem Austriacy w Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy w carcer durum”.

Toteż obowiązkiem społeczeństwa polskiego jest niezapominać o tej karcie naszej martyrologii, karcie, na której zapisane są nazwiska tylu najwybitniejszych działaczy narodowych na terenie dawnej Galicji.

Z uznaniem też powitać należy inicjatywę, podjętą przez dyr. Archiwum miejskiego we Lwowie, dyr. A. Czolowskiego, co do urządzenia na wiosnę 1935 we Lwowie wystawy pamiętek z okresu „wiosny ludów”.

Dalszym etapem na tej drodze będzie utworzenie w muzeum więziennym w Grajgórze osobnego oddziału polskiego.

(kr.)

Problem pszenicy

Wśród wielu gatunków uprawnych roślin pszenica wybiją się na czoło najstarszych znanych zbóż, obok jęczmienia. Ojczyzną pszenicy, jest prawdopodobnie Egipt i jego dolina Nilu. Wiemy również, że uprawą pszenicy zajmowali się mieszkańcy Mezopotamji, krańcy wielce urodzajnej, używanej stale wodami Eufratu i Tygrysu.

Najstarsze jednak pomniki historyczne i wykopaliska, świadczące o kulturze ludzkiej z epoki 300 lat przed Chrystusem, świadczą o tem, że w owych zamierzchłych czasach pszenica była główną, uprawną rośliną w dolinie Nilu. Na starych egipskich budowlach i w grobowcach królewskich znaleziono liczne tęczby i malowidła, przedstawiające siew, żniwa, snopy, i młockę pszenicy, której ziarna znaleziono w murach i naczyniach wraz ze słomą, często bardzo dobrze zakonserwowane. Uczni egipciolodzy zgadzają się jednogłośnie na to, że są to ziarna pszenicy, a spierają się jedynie o gatunek a mianowicie, czy jest to pszenica twarda, czy też zwykła, pospolita i pierwotna, uszlachetniona, czy w swej pierwszej postaci wśród zbóż z gatunku traw.

Rysunki egipskie przedstawiają pszenicę, jako ostkę, jednak nie można z nich na pewno orzec, czy to była pszenica ozima lub jara, dwuziarnowa czy jednoziarnowa.

Istnieją historyczne dowody, że Egipt uprawiał pszenicę na większej połowie swego obszaru, konsumował u siebie w kraju jedynie pewną część zbioru, a większą część wywoził do obcych krajów, do Europy i Azji, czerpiąc z tego źródła wielkie dochody. Opierając na nich swój dobrobyt i bogactwa.

Zabytki archeologiczne z epoki mniej więcej 2000 lat przed Chrystusem dowodzą, że uprawą pszenicy zajmowali się wówczas Babilończycy, Asyryjczycy, Grecy, Chińczycy i inne ludy azjatyckie, które w czasie licznych „ówczesnych wędrówek rozszerzali uprawę w Azji i w Europie. Z wielkiem prawdopodobieństwem przypuścić można, że kupcy arabscy i fenicyjcy, którzy utrzymywali stosunki z ludem polskim, zamieszkującym dalekie wybrzeża bałtyckie, zajmowali z tą rośliną wschodnią i środkową Europę, gdzie zaaklimatyzowano ją łatwo i z pożytkiem.

W Polsce stała się pszenica przedmiotem wielkiego wywozu na zachód Europy. Liczne dokumenty historyczne świadczą o tem, że rolnicza Polska była długo spichrzem Europy. Długosz podaje w swej historii liczne daty, tyżące się tego wywozu, który korzystał z polskich dróg wodnych, a przedewszystkiem Wisły, nad którą pobudowano liczne spichrze zbożowe jak w Kazimierzu i w innych miastach, leżących wzdłuż biegu Wisły aż do Gdańska. Dla tego wywozu wykopano sławny kanał Ogińskiego, którym prowadzono zboże i drzewo zagranicę.

W tym czasie wywożono z Polski nie wiele żyta i jęczmienia, gdyż żyto konsumowano w kraju, a z jęczmienia wyrabiano w licznych browarach piwo, które spijali przeważnie Niemcy, gdyż Polacy raczyli się chętniej miodem i winem.

Mimo tego, że w owych czasach górowała w polskim rolnictwie ekstenzywność i trójpółowka, — Polska za panowania ostatnich Piastów i Jagiellonów karmiła swą pszenicą zachód Europy i cieszyła się wielkiem dobrobytem. Dziś rolnicza Polska nie umie należycie wykorzystać swych skarbów glebowych i miast przodować w rolnictwie, pozostaje w tyle za innemi, nawet mniej rolniczemi krajami. W tej dziedzinie pracy obserwujemy to samo zjawisko, które tak jaskrawo objawia się w wyzyskiwaniu naszych pól kopalnianych. Przyroda uposażyła nasz kraj tak boga-

to w węgiel, sól, rudę, drzewo, naftę, w wody i łąki, a skarby te nie przynoszą narodowi i państwu należytych korzyści. To samo dzieje się w rolnictwie.

Jeśli ten stan rzeczy nazwiemy nawet zacołaniem, to źródła jego dopatrywać się musimy w tem, że Polak jest zbyt konserwatywny, mało rzutki i przedsiębiorczy, nie umie ryzykować, kalkulować, podpatrywać przyrody, wyzyskiwać koniunktur gospodarczych, — lecz chętnie idzie po linii najmniejszego oporu i po źle utartych ścieżkach, a co gorsze, ulega fałszywym, celowo szkodliwym hasłom gospodarczym, kolportowanym u nas bezkrytycznie z zagranicy.

To też nikt się nie dziwi, że polskie rolnictwo jest źle zorganizowane, tak pod względem technicznym jak handlowym, co w pierwszym rzędzie zawdzięcza wpływom obcym. Temu przede wszystkim przypisać należy, że w Polsce upadła uprawa pszenicy i jej wywóz.

Obecnie uprawiamy pszenicę w Polsce na obszarze około miliona hektarów i zbiór roczny nie pokrywa nawet zapotrzebowania kraju. Z tego powodu sprowadzamy z obcych dziesiątki tysięcy ton pszenicy, płacąc w ten sposób olbrzymi haracz obcym państwom.

Zagranica też, pracując na wywóz, pracuje usilnie nad ulepszeniem uprawy pszenicy, uszlachetnia tę roślinę, wyhodowuje coraz to nowe odmiany i konsekwentnie dąży do otrzymania pszenicy odpornej, pełnej i dobrze

przystosowanej do gleby i klimatu. Hodowcy poszczególnych krajów stawiają sobie w tym względzie różne cele, odpowiednio do warunków uprawy; przodują w tej pracy Anglicy i Niemcy a także Francuzi, wśród których wybiją się na czoło Vilmorin. Anglicy dążą do osiągnięcia jaknajwiększej plenności pszenicy, Szwedzi usiłują przystosować swą odmianę do swego klimatu i uczynić ją odporną na zimę i rdzę, Niemcy dbają o plenność. Węgrzy pragną wzmocnić słomę. Stany Zjednoczone sprowadziły z Rosji nasienie pszenicy zwanej Kubanką i drugą odmianę charkowską i wyhodowały z nich dwie własne odmiany, z których pierwszą nazwały u siebie Nodak, a drugą Karmsut.

W Polsce nie widzimy podobnej pracy. Nasze szkoły i zakłady rolnicze jak też doświadczalnie uprawiają wiele teorii, wiele robią d'a nauki, ale mało dla rolnictwa. Ten brak uwzględnienia praktycznych potrzeb polskiego rolnictwa sprawia, że polski rolnik żywi mało zaufania dla nauki i stąd płynie zacołanie, a z niem upadek.

A przecież, gdy chodzi o pszenicę, nauka daje nam dobre podstawy do pracy i przedkłada do wyboru 8 podstawowych gatunków pszenicy, wśród których wymienia także polską pszenicę i które wykorzystać można dla każdego klimatu i gleby.

Z następujących podstawowych gatunków tworzyć można krajowe odmiany pszenicy:

- 1) Pszenica polska, *Triticum polonicum*, 2) angielska, *Tr. turgidum*, 3) orkisz, *Tr. spelta*, 4) pospolita *Tr. vulgare*, 5) Karłowa, *Tr. compositum*, (jeżatka), 6) szklista, *Tr. Durum* (twarda) 7) płaskurka, dwuziarnowa, *Tr. Piconum* 8) dwurzędowa, jednoziarnowa, *Tr. monococcum*.

Grupa pszenic pospolitych, *Triticum vulgare*, nadaje się najlepiej do uprawy w naszym klimacie i na naszej glebie. Pszenica polska, *Tr. polonicum*, jest to zboże jare, które wymaga jeszcze hodowli. W każdym razie możnaby w różnych okolicach Polski, zależnie od warunków uprawy, wyhodować nowe odmiany przystosowane i dobrze odporne, jeśli sprawa ta znajdzie kompetentnych pracowników, dobrze orientujących się w naszych stosunkach.

Wartość ziarna pszenicy zależy w pierwszej linii od zabarwienia. Jasne zabarwienie decyduje o cenie. To też w handlu rozróżniamy pszenicę mączną i szklistą, mniej wartościową, a cechy dodatnie zależą nie tylko od klimatu, gleby i odmiany, lecz również od sposobu uprawy i nawożenia, na co należy zwrócić przedewszystkiem uwagę.

W obecnych czasach, gdy rolnictwo walczy z niedoborami, a państwo z ujemnym bilansem handlowym, należałoby wśród innych uwzględnić również problem pszenicy, produktu, którego konsumpcji w kraju i zagranicą nie zmniejszy żaden kryzys i kataklizm gospodarczy. Ale równocześnie należy unormować handel produktami rolnymi i uniezależnić rolnika od wszelkich agentur gospodarczych.

Dr. J. S.

Apologia Kaliguli

Tyran, rozpustnik, kazirodca, komiczant; chciwiec, rozrzućnik, tchórz, okrutnik; wariat — oto określenia, które przez niezawodną asociację przynosi z sobą imię Kaliguli. Lecz nasze czasy przynosząc z sobą kult jednostki, wpłynęły i na historję Raz po raz występuje ktoś z obroną jednego z cesarzy, rzymskich, których przyzwyczailiśmy się uważać za potwory moralne. Oczyszcza się Tyberjusza z plany rozpusty i okrucieństwa — teorie te znalazły już nawet oddźwięk w literaturze pięknej, mianowicie w sławnej „Księdze z San Michele“ Axela Munthe. (San Michele sąsiaduje z Capri). Obecnie wystąpił zawodowy historyk, uzbrojony w cały aparat naukowy, z próbą rehabilitacji Kaliguli. Jest to J. P. D. Baldon, autor dzieła „Cesarz Gajus (Kaligula)“.

Uwzględni on starannie wszelkie źródła i porównywa — jedno z drugimi. Nie można mu zarzucić, aby był gołosłowny. Natomiast interpretuje wszystko w duchu swej tezy i gdzieindziej nawet laik poczuje sofistykę.

Jedyną wadą, jaką Baldon przyznaje swemu bohaterowi, jest skłonność do samowoli. Miała ona się wytworzyć pod wpływem wychowania, za którą autor czyni odpowiedzialną matkę Kaliguli Agrippinę, żonę Germanika, nazywając ją pozbawioną zasad, żadną rozkazywania i fanatyczną prawą domu Julijskiego do władzy. Tu opiera się chyba na późniejszych dziejopisach, gdyż wcześniejsi zgodnie chwalą Agrippinę i litują się nad jej tragicznym losem.

Do oczernienia Kaliguli miał przyczynić się przedewszystkiem jego zastępca Klaudjusz, stwierdzając w urzędowym dokumencie, że bratanek był

obłąkany. Swetonjusz mówi, że Kaligula miał *lucida intervalla* i wówczas planował wyjazd do Antycyzy na kurację. Lecz Baldon odrzuca wogóle teorię choroby umysłowej, wykazując niezgodność historyków co do czasu pokazania się jej objawów.

Kazirodczy związek Kaliguli z siostrą Dziezyllą, ubóstwioną z jego woli jako Nantea, Baldon odrzuca z oburzeniem jako złośliwe wypaczenie serdecznego stosunku między bratem a siostrą, którego nie umiano pojąć w epoce rozluźnienia się węzłów rodzinnych i zepsucia obyczajów.

Broni również jego ośmieszanej wyprawy do Gallji i Germanji. Cesarz miał wybrać się tam dla przeprowadzenia inspekcji wschodniej granicy i przywrócenia karności w wojsku. Sprzysiężenie Getulika uważa za prawdziwe, a nie za zmyślane dla skazania na śmierć szeregu ludzi i konfiskaty ich majątków. Jak wiadomo, Gajus okrył się śmiesznością, urządzając formalne bitwy z nieobecnyim nieprzyjacielem. Baldon uważa, iż były to zwyczajne ćwiczenia wojskowe, wskazane wobec małej sprawności stojących nad Renem legionów. Z Germanji wycofał się wedle niego Kaligula zupełnie słusznie, ponieważ nieprzyjacieli pokrył się po niedostępnych lasach; odwrót był rozsądną decyzją wodza, nie dającego się wciągnąć w zasadzkę, a nie tchórzostwem. Planowany najazd na Brytanię, zbieranie muszel na wybrzeżu, walka z Neptunem i tryumf nad nim — to złośliwe wymysły, oparte na wzgardliwych zarządzeniach cesarza, który tym sposobem karał legjony za niekarność i nieposłuszeństwo. Z takim wojskiem nie mógł myśleć o podboju Brytanji!

Stara się dalej autor przeprowadzić dowód, że Gajus dobrze zarządzał skarbem, a wszelkie wiadomości o bankructwie państwa za jego czasów są nieprawdziwe.

Wogóle Kaligula padł ofiarą zmyśleń swych wrogów i po republikańsku nastrojonych historyków. Przekreślano każde jego słowo. Wyrzili raz żal, że za jego panowania nie zaszła żadna większa katastrofa — taka, jak klęska Warusa za Augusta, lub zawalenie się amfiteatru w Fidenae za Tyberjusza. Baldon przypuszcza, że musiał mówić o wspaniałomyślności i hojności, jaką byłby okazał w razie nieszczęścia.

Jednem słowem Kaligula miał być energicznym i rozsądnym władcą, lubił nieco pozować, miał ostry język i niebardzo wierzył w bogów, ale był ożywiony najlepszymi chęciami. Niestety panowanie jego przypadło na okres, w którym jeszcze konserwatywnie usposobiony senat nie był pogodził się z jednolowładztwem, on zaś był zwolennikiem silnej władzy.

Tyle Baldon. A więc wybielono już Tyberjusza i Kaligulę. Kiedy przyjdzie kolej na Nerona?

J. S.

Nieznane dzieło Lope de Vegi

W Muzeum madryckiem odkryto przypadkowo manuskrypt nieznanego do tychczas krótkiej farsy Lope de Vegi, napisanej w roku 1612. O istnieniu tej farsy było oddawna wiadomo, nie można jej było jednak dotąd znaleźć.

Manuskrypt liczy dziesięć stron i zaopatrzony jest własnoręcznym podpisem dramaturga. Tytuł farsy brzmi: La Tienda de los Gestos (sklep z maskami). Lope de Vega zamieścił w swej farsie satyryczne sylwetki paru wybitnych współczesnych osobistości.

Wjazd do Nowego Jorku

(Wspomnienia z podróży)

Podróżny przybywający po raz pierwszy z Europy do Ameryki, jest wprost oszołomiony cudownie pięknym widokiem, jaki się oczom jego przedstawia z pomostu statku, na zatokę Nowojorską, urozmaiconą licznymi wyspami i na widniejące we mgle, grupy potężnych budowli, niby jakieś fantastyczne zamczyska, czy fortece.

Port Nowojorski jest właściwą bramą, otwierającą nam dostęp do nowego, nieznanego świata. Bo choć na wybrzeżach Atlantyku leżą inne wielkie miasta portowe jak Boston, Filadelfia, Baltimore, Washington, Nowy Orlean i inne, to jednak żadne nie dorównuje temu, w znaczeniu i piękności położenia. Tu przybijają największe olbrzymie pasażerskie wiozące tysiące podróżnych, stąd wyruszają wszyscy udając się do Europy, czy dalej na Wschód.

Na samym wstępie wita nas, widna zdaleka, gigantyczna postać Wolności z pochodnią zapaloną w ręku. Jest to latarnia morska, dzieło artysty Bartholdiego, ofiarowana Stanom Zjednoczonym przez Rzeczpospolitą Francuską, jako zadatek Braterstwa Ludów. Wzniesiono ją w roku 1886 na wyspie Bedloe w przystani Nowojorskiej. Wykonana z miedzi, wysoka na 46 m. umieszczona jest na podstawie o szerokości 25 metrów.

Gdy posuwamy się wzdłuż zatoki ożywionej setkami statków większych i mniejszych, coraz wyraźniej zarysowują się kontury tego dziwnego miasta, rozsiadłego wokół ujścia potężnej rzeki Hudson. Wjazd od morza pomiędzy wyspami „Staten Island” i „Long Island” tworzy już port niemal zamknięty, poczem statki wpływają na rzekę Hudson, mając po prawej stronie Brooklyn, po lewej Jersey City, połączone koleją podziemną i tunelem dla pojazdów pod tą rzeką. Na samym cyplu wyspy Manhattan, będącej sercem Nowego Jorku, znajduje się Battery plac. Statki płyną dalej, gdzie wzdłuż brzegu lewego wyspy, różne linie okrętowe mają swoje własne miejsciska do lądowania w liczbie 99-ciu, tak, że podróżny wysiadając na ląd znajduje się od razu niemal w centrum miasta.

Trzysta lat temu, na tym miejscu, obozowali Indianie. Wyspę Manhattan odkrył Henryk Hudson w roku 1609 a pierwszymi Europejczykami jacy się tu osiedlili byli Holendrzy. Jeden z nich Piotr Minuit, kupił ją od Indian w roku 1626 za 24 dolary wypłacone w perkalikach i paciorkach i nazwał osadę Nowym Amsterdamem. Anglicy objęli ją w posiadanie niecałe pół wieku później, zmieniając jej nazwę na Nowy Jork. Wówczas była to niewielka miejscina bez znaczenia, podczas gdy dzisiaj jest największym miastem Ameryki, właściwą stolicą 120-to milionowego państwa, środowiskiem finansów, literatury, teatru i mody, nadająca ton życiu towarzyskiemu. W tym mieście waży się losy dzieła sztuki, oznacza się poczytność książki, sława artysty sportowca, pięknej kobiety.

Ale wstęp do tego zaczarowanego miasta nie jest łatwy: wszyscy podróżni przybywający z Europy, nawet jeżeli zajmowali luksusowe kajuty na statku, za bardzo drogie pieniądze, mogą być zaliczeni, zależnie od dobrego humoru urzędnika emigracyjnego, do kategorii imigrantów i wystąpić na wyspę Ellis Island, dla odbycia tam

kwantantny, albo nawet skazani na powrót do Europy.

Ze wypadki bezprawnego zatrzymania podróżnych zdarzają się, jest fakt, że pewną, znaną w świecie literackim autorkę, pomimo paszportu wizy uprawniającej ją do 6-cio tygodniowego pobytu w Stanach oraz biletu powrotnego, wywieziono na Ellis Island gdzie ją traktowano w sposób niesłychanie ubliżający tak długo, dopóki przyjaciele oczekujący jej przyjazdu, nie postarali się o wydobywanie jej stamtąd.

Ja szczęśliwie uniknęłam tych przykrości a nawet rewizji, dzięki zapewne opiece agenta biura podróżniczego Conika, gdyż urzędnik celny z flegmą pogryzający gumę, nawet nie otwierał moich walizek.

W dniu dzisiejszym Nowy Jork jest miastem najbardziej zdumiewających budowli nie mających sobie równych w świecie. Tu się znajduje najwyższy budynek na kuli ziemskiej „Empire State” wyższy o 266 stóp od wieży Eiffel, bo dosięgający 1.250 stóp i liczący 192 pięter. Koszt jego budowy wyniósł 25 milionów dolarów. Tutaj są hotele mające po 225 pięter i 2.000 tysięcy pokoi z niebywałym przepychem urządzonych. W Nowym Jorku jest największy w świecie Uniwersytet Columbia, są najobszerniejsze teatry, najdłuższe mosty i port najgłębszy, którego doki znajdują się przy samym środku miasta. Wielka ulica najbardziej uprzemysłowiona, Broadway, przecina na ukos Manhattan, biorąc początek od Yonkers, przechodząc przez najruchliwszy w dzień i w nocy Times

Skwer, a kończąc się na jej cyplu Battery placu, położonym już bezpośrednio nad morzem. Nad brzegiem rzeki Hudson aleja „Riverside” jest właściwie przepiękną promenadą, zadrzewioną i zdobną w trawniki i kwietniki z rozległym widokiem na drugą stronę rzeki, pagórkowatą z miastem — ogrodem i pięknymi willami. Riverside Drive oraz V Avenue są zabudowane najwspanialszymi pałacami, do niedawna stanowiącymi rezydencje miliardów amerykańskich, dzisiaj gwałtownie zubożałych wskutek kryzysu. Obecnie pałace te przeszły przeważnie w ręce zubożonych żydów.

Cztery mosty rzucone ponad wschodnim ramieniem Hudsonu łączą Manhattan z Long Islandem i Brooklynem: są to: Queensboro, Manhattan, Brooklyn i Williamsburg. Ale najdłuższy i najpiękniejszy jest most Washingtona o rekordowej rozpiętości zawieszony na kablach stalowych.

MARJA DROHOJOWSKA

Dzieje najemnika

Zyjemy w epoce powszechnej służby wojskowej i wielkich armij narodowych. Zdawałoby się więc, że powinien zniknąć typ awanturczego najemnika, przetrzymującego się z jednego zakątka świata w drugi i nadstawiające karku za każdą sprawę, byle mu płacono. Jest jednak inaczej. Wielu ludzi, którzy podczas wojny przyzwyczaili się do niebezpieczeństwa, zasmakowali w żołnierskim rzemiośle, a odwykli od normalnej pracy lub po wojnie nie mogli jej znaleźć, zostało zawodowcami w rodzaju dawnych lanciechtów.

Takim jest autor wydanej w Londynie książki „Szabla do wynajęcia”, Douglas V. Duff, — o ile wspomnienia jego są prawdziwymi wspomnieniami, a nie zmyśleniem jakiegoś utalentowanego belletrysty, który znał kilka środowisk, będących tłem przygód Duffa.

Miał on przyjść na świat w Ameryce Południowej i jako dziecko wystawiony był na niebezpieczeństwa rewolucji. Ostatecznie rodzina dostała się do Anglii i oddała go do szkoły marynarskiej. Opuścił okręt ćwiczebny w pierwszym roku wojny światowej i wkrótce potem jako jedyny człowiek, który przeżył storpedowanie małego okrętu transportowego w pobliżu brzegów francuskich, spędził dzień i noc na szczątkach łodzi. Przy tej sposobności komendant niemieckiej łodzi podwodnej zażądał od Duffa podania nazwy zatopionego okrętu, ale spotkał się z odmową.

W czasie następnej podróży Duff złamał obie nogi. W czasie trzeciej podróży statek jego, płynący ze Stanów Zjednoczonych z transportem żołnierzy i koni, został znowu storpedowany. Rатовano ludzi, konie trzeba było poświęcić. Duff opisuje żywo, jak ku łodzi, przeznaczonej na 48 ludzi, a wiozącej w danej chwili 73-ch, płynęły setki koni, przerażonych bliskością śmierci. Groziło przewrócenie przez nie łodzi lub uszkodzenie jej podkutami kopytami. Była tak przeciążona, że nie dało się uciec — i nastąpiła ohydna, ale konieczna rzeź biednych zwierząt, które zabijano wioślami, szablami, toporami i strzałami rewolwerowymi.

Później zajmował się Duff załadowaniem na okręty rosyjskich uchodźców. Nie wszyscy uszli z bolszewickiego raju z pieniędzmi — i damy z najwyższych klas sprzedawały się nieraz za trochę pożywienia.

Tu następuje nagła zmiana w kolejach Duffa. Podczas owej okropnej nocy na uszkodzonej łodzi, samotny i niepewny życia, ślubował był, że wstąpi do klasztoru, jeżeli ujdzie cało. Dotrzymał po wojnie słowa, ale niedługo wytrzymał. Dyscyplina zakonna wydała mu się „nielitościwa, bezsensowna i oburzająca”. Wystąpił i zgłosił się do angielskiej policji w Irlandji.

Burzliwe to były czasy na szmaragdowej wyspie i Duff brał udział w bezlitosnych obławach na powstańców. „Większa część z nas” mówi, „uczni-

wała niemają sympatii do tych biedaków, na których polowaliśmy wśród gór i bagien. Oni przynajmniej uważali, że walczą za słuszną sprawę, gdy my wiedzieliśmy że za nią nie walczymy”.

Następnym etapem kariery Duffa była Palestyna, gdzie był żandarmem brytyjskim. Do zadań jego należało bronić żydowskich kolonistów przed Arabami, tropić beduińskich rabusiów, strzec granicy francuskiej Syrii przed Druzami i chwycić przemytników. Duff jest zdeklarowanym judofilem. Mówi, że zaledwie Sir Herbert Samuel przestał być wysokim komisarzem Palestyny, społeczeństwo brytyjskie, a nawet czynnik oficjalne puściły wodze swemu antysemityzmowi, ponieważ wedle niego woli ono służyć Arabów od śmiałych i pełnych godności Żydów.

Ta część książki obejmuje opis przyłączenia angielskich dygnitarzy przez króla Ibru Saula, walki między Żydami a Arabami w r. 1929, trzęsienia ziemi i strasznej epidemii malarii.

Duff — o ile istnieje — musi być bardzo zrozumiętym człowiekiem. Mówi o swoim ogromnym wzroście i sile fizycznej, o swojej doskonałej znajomości ludzi i umietyści postępowania z nimi. Kończy patetycznie. Zamieszkał ostatecznie w swej cichej farmie w Wessex, ale umieścił przed domem tablicę z napisem: „Szabla do wynajęcia”.

Literacki, miejscami kunsztowny sposób opowiadania i liczne cytaty z pisarzy angielskich budzą podejrzenia czytelnika. Bardzo być może, iż autorem książki jest jakiś zawodowy literat, który oparł się na opowiadaniu jednego lub kilku ludzi i upiększył je własnymi dodatkami. Przemawia za tem i epizod klasztorny i entuzjazm dla Żydów i dużo teatralnych szczegółów, zbyt efektownych, aby koniecznie musiały być prawdziwe. Od początków XVIII w. istnieje w piśmiennictwie angielskim tradycja pisania w pierwszej osobie o niezwykłych przygodach po wszystkich częściach świata, i to z najdrobniejszymi szczegółami. Mistrzem tej sztuki był Daniel Defoe, autor „Pamiętnika z roku zarazy” tj. z r. 1665, kiedy autora nie było na świecie, „Wojen Piotra W.” przez oficera jego gwardji itd. Nawet „Robinson Crusoe” ma podobny charakter. Defoe miał licznych naśladowców i można przypuszczać, że autor „Szabli do wynajęcia” liczy się do nich.

A. E.

Straszliwy trybunał

Jak wiadomo, w Anglii znosi się ustawy dopiero w dłuższy czas po ich zamierzeniu w praktycznym życiu, a nieraz zostawia się je na papierze, choć nikt ich od całych wieków nie wykonywał. Największe osobliwości z tego zakresu istnieją po małych miejscowościach prowincjonalnych. We wsi Williton k. Mirekead w hrabstwie Somerset zbiera się jeszcze co najmniej raz do roku trybunał, założony przez Willhelma Zdobywcę. O ile wzywa kogoś przed oblicze „straszliwych sędziów”, czyni to wedle formułek z XI w., grożąc surowymi karami za niestawiennictwo w normandzkiej francuszczyźnie. Bo też w średnich wiekach Williton leżało pośród lasów królewskich, które chroniło drakońskie ustawodawstwo. Szczególnie za kłusownictwo wymierzano srogie kary. Ów trybunał mógł skazywać na szubienicę, piętnowanie, na ucięcie ręki lub na banicję.

Ale za mniejsze przewinienia trybunał z Williton karał mniej okrutnie. Za pijaństwo wsadzał więźniaków w dyby, a kłótlive baby polecał kilkakrotnie zanurzać w wodę na umyślnie do tego przeznaczonym stołku, (dunchung stool). Było to coś podobnego do znane go u nas pławienia. Naturalnie i tych kar już się nie wymierza, ale w teorii jeszcze stnieją.

W rzeczywistości trybunał ma część kompetencji naszej rady gminnej. Odbywa swe posiedzenia przy piwie w gospodzie. Nie może zaznaczyć swego postanowienia dla tradycji przez zakuwanie w dyby i pławienie, to byłoby zbyt staroświeckie. Zaznacza je w inny sposób, mianując corocznie szereg funkcjonariuszów — komorników, rzeczoznawców co do jakości piwa, inspektora wag i miar, sołtysa i woźnego do ogłaszania po ulicach urzędowych obwieszczeń.

A. K.

Antropologia odkrywa nam swe tajemnice*)

DOTYCHCZASOWY STAN ANTROPOLOGII

Antropologia bada w człowieku nie to, co jest typowe i właściwe wszystkim ludziom, jak to np. czyni anatomia; antropologia bada te cechy i zespoły cech, które ludzi od siebie odróżniają i rodzaj ludzki różnicują. Oczywiście z tego różnicowania wynika potem grupowanie ludzi wedle pewnych znamion (cech) zewnętrznych — takich, jak barwa skóry, kształt głowy, wzrost, barwa oczu, kolor włosów, kształt nosa, proporcje kończyn i t. p.

Pewien zespół cech, występujący stale w pewnym porządku, da nam to, co popularnie nazywamy rasą. Do niedawna jednak nie umieli antropologowie wyjść z gestwiny faktów, które zresztą sami nagromadzili. Nie zdawali sobie bowiem sprawy z porządku, w jakim dane cechy występują, z wzajemnego ustosunkowania się tych cech w jednostce ludzkiej i z wzajemnego ustosunkowania się ras w społeczeństwie ludzkim. Zorientowanie się takie nie było zresztą wogóle możliwe przed odkryciem praw dziedziczenia t. zw. — od nazwiska drugiego odkrywcy — praw Mendla.

Prawa Mendla, które weszły na stałe do dorobku nauki w początkach XX w., a więc w lat kilkadziesiąt po ich odkryciu, pouczają nas, że zewnętrzne cechy organizmu żyjącego nie są czemś przypadkowym, lecz że cechy się dziedziczą wedle pewnych znanych już praw.

Dziedziczne są zresztą nie tylko cechy pojedyncze, lecz i całe zespoły cech, całe typy antropologiczne.

Otóż dotychczas antropologowie ograniczali się do obserwacji poszczególnych cech, obserwowali, badali, mierzyli i zapisywali, gromadzili olbrzymie materiały, tomy zapisków o pomiarach czaszek ludzi żyjących i całe kolekcje czaszek ludzi nieżyjących i nie mogli się w tem gąszczu zorientować. Taki np. węgierski antropolog Török ustalił aż kilka tysięcy pomiarów potrzebnych do zidentyfikowania samej tylko czaszki danego osobnika. Zdawało się, że antropologia nie ruszy z miejsca i będzie polem do popisu dla cierpliwości Töröków i dla różnych literackich koncepcji Gobineau i Chamberlaina, piewów nieistniejącej rasy germańskiej.

SYSTEM PROFESORA CZEKANOWSKIEGO

Syntezę czyli — powiedzmy popularniej — klucz do zorientowania się wśród ras ludzkich, dał całej nauce profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, Jan Czekanowski. Stawia to w tej chwili naukę polską, a szczególnie antropologię, na pierwszym miejscu w świecie. W Polsce zaś prace profesora Czekanowskiego dają pierwsze miejsce Uniwersytetowi lwowskiemu.

Wedle profesora Czekanowskiego, każdy człowiek jest albo jednostką rasowo czystą, albo mieszaną. W tym drugim wypadku mieszaniec składa się zawsze tylko z dwu ras czystych, które w potomstwie rozszczepia się wedle praw Mendla. Jeżeli jednak łączyć się będą przez pokolenia te same rasy czyste, czyli jeżeli dana populacja (grupa etniczno - społeczna) jest dostatecznie

długo izolowana od innych populacji, to wtedy mieszaniec stabilizuje się i przekazuje potomstwu swoje cechy w tym nowym, świeżo skombinowanym zespole.

Jeżeli teraz zechcemy zastosować tę samą tezę do dzisiejszych ras czystych, to okaże się, że każda z nich jest też ustabilizowanym mieszańcem. Cofając się w ten sposób wstecz, musimy dojść wreszcie teoretycznie do dwu pierwotnych ras ludzkich, nie dających się już dalej rozłożyć na elementy jeszcze pierwotniejsze.

W ujęciu profesora Czekanowskiego mamy w tej chwili na kuli ziemskiej tylko sześć ras czystych. Są to trzy rasy białe (nordyczna śródziemnomorska i armenoidalna), dwie żółte (laponoidalna i arktyczna) i jedna czarna (nigrycka). Przy teoretycznym rozłożeniu ich na składniki pierwotne, otrzymamy rasy: białą, czarną i żółtą (trzy rasy Cuviera), przy jeszcze dalszym cofnięciu się dwie rasy: białą i czarną.

Te sześć ras czystych daje nam piętnaście mieszańców (ilość kombinacji drugiej klasy z sześciu elementów). Razem więc mamy na kuli ziemskiej nie więcej, tylko 21 typów antropologicznych, z tego sześć rasowo „czystych” i piętnaście rasowo „mieszanych”.

Niema więc w ustosunkowaniu się pojedynczych cech rasowych w człowieku i pojedynczych typów antropologicznych w społeczeństwie żadnego chaosu i żadnej przypadkowości czy dowolności. Każdy składnik jest na swoim miejscu i nawet badacz nie uzbrojony w taką sumę wiedzy, jak profesor Czekanowski, może na podstawie tego systemu określić przynależność rasową danej jednostki ludzkiej czy nawet całej populacji. Sam profesor Czekanowski mówi, że jego system „jest próbą stworzenia w biologii ujęcia analogicznego do systemu Mendelejewa w chemii”.

RASY EUROPEJSKIE

W Europie — która nas najwięcej interesuje — są cztery rasy czyste (nordyczna, śródziemnomorska, laponoidalna i armenoidalna) i oczywiście sześć mieszańców (subnordyczna, sublaponoidalna, alpejska, dynarska, litoralna i północno-zachodnia). Są oczywiście i inne rasy, które jednak dla swej małości, ilości obrazu nie mają. I tak np. Żydzi mają jeszcze domieszkę orientalną, Bułgarzy wykazują domieszkę paleoazjatycką, gdzieindziej na Wschodzie Europy zdarzy się nawiązujący do Chińczyków, a zawleczeni do Europy prawdopodobnie przez Hunów, typ pacyficzny i t. p.

Już choćby z tego znowu, że rasa laponoidalna jest właściwie rasą żółtą, widzimy jak się wała w proch utarte nasze pojęcia. Laponoidzi bowiem są w Europie dość liczni i to właśnie w alpejskiej Europie Środkowej. Z drugiej jednak strony między laponoidalnym frankońskim Niemcem, a laponoidalnym Chińczykiem jest cała gama różnic w stopniowaniu właściwych danemu typowi cech charakterystycznych, równa odległości Niemiec od Chin.

SYNTEZA NAUK PRZYRODNICZYCH I HUMANISTYCZNYCH

Wyniki swoje zawdzięcza profesor Czekanowski — wynalezionej zresztą przez siebie — statystycznej metodzie badań. Dziwić się zresztą wypada, że metody statystyczne tak późno znalazły w antropologii zastosowanie. Dla ta-

kiej przecież mnogości zjawisk i obserwacji, jakie daje antropologia, metoda opisowa jest instrumentem niesłychanie prymitywnym, coś w rodzaju przysłowowej motyki na słońce.

Dla syntezy jednak antropologicznej nie wystarczają nawet wszystkie nauki biologiczne, zbrojne do tego w możliwości jakie daje nauka matematyczna: statystyka. Okazuje się, że potrzebne tu są również także nauki par excellence humanistyczne jak archeologia, etnologia i filologia porównawcza. Wszystkie te nauki szczęśliwie zjednoczył w swoich pracach prof. Czekanowski oczywiście w ścisłym zastosowaniu do wytkniętego sobie celu.

Ludy bowiem kopalnych epok cywilizacyjnych znamy tylko z wykopalisk. Z drugiej strony zasadniczym kryterium podziału ras i narodów są języki i to, co nazywamy odrębną od innych cywilizacją i kulturą.

MURZYNI W EUROPIE

Dowiadujemy się więc z książki prof. Czekanowskiego że mieszkali kiedyś w Europie ludzie czarni i to typu zachowanego do dziś na kontynencie reliktyw — w Australii.

Rewelacyjne są rozważania, dotyczące pochodzenia zagadkowego europejskiego ludu — pirenejskich Basków. Język ich — niepodobny do żadnego z języków europejskich — wykazuje nawiązania do niearyjskich (tj. azjanickich) języków kaukaskich, ale jeszcze silniej nawiązuje do języków sudańskich murzyńskiej Afryki. Językowo więc byłiby Baskowie reliktem po jakiejś bardzo starej inwazji afrykańskiej, rasowo zaś odzwierciedlają w sobie całą historię antropologiczną półwyspu pirenejskiego, przyczem najciekawsze są tu ślady przedaryjskiej ekspansji ludów kaukaskich, rasowo armenoidów — językowo tj. azjanitów.

ANTROPOLOGIA I LINGWISTYKA

Zasadniczo jednak nie wolno utożsamiać narodów z pewnymi rasami. Zdarzały się bowiem podboje, kiedy całe szczepy ulegały najeźdźcy i przyjmowały jego język. Zmieniało to strukturę całych narodów. Pierwotni np. Słowianie byli nordykami, a tak duże wśród nich dzisiaj ilości laponoidów, to zeslawizowana ludność pierwotna. Tak samo np. zdaje się Ormianie są narodem przedaryjskim, który od Ariów przyjął język. Pojęcie rasy śródziemnomorskiej o tyle nie łączy się z dzisiejszymi narodami z nad morza Śródziemnego, iż rasa śródziemnomorska zdominowana jest od bardzo dawnych czasów również na wyspach W. Brytanii i Irlandii, dalej w pewnych częściach i w południowej Rosji (terytorium rjazańskie Czepurkowskiego).

Z drugiej strony nie ulega kwestii, że u pewnych narodów przeważają pewne rasy. Skandynawia jest np. wybitnie nordyczna, Brytyjczycy nordyczno - śródziemnomorscy, tak samo, jak wczesno historyczni Germanie. Niemcy dzisiejsi mniej mają nordyków, niż sami o tem opowiadają. Oprócz nordyków na północy mają oni laponoidów i armenoidów na południu, dających typ mieszany tj. alpejski. Dużo jest też w Niemczech śródziemnomorców. Jak jednak wygląda precyzyjna mapa antropologiczna Niemiec, profesor Czekanowski nie pisze. Zdaje się, że Niemcy wyników swoich prac antropologicznych nie publikują.

W Polsce dominują dwa elementy rasowe: nordyczny i laponoidalny. Ich ustosunkowanie się wzajemne decyduje o krajobrazie antropologicznym danej części kraju. Nie brak oczywiście w Polsce i wszystkich innych elementów europejskich.

RASY „WYŻSZE” I „NIŻSZE”. GOC- KI POCZATEK POLSKI?

Czy są rasy wyższe i niższe? W każdym razie są także różnice rasowe psychiczne, a nie tylko fizyczne. Przemów na rolę w historii Europy odegrały dwa elementy: nordyczny i śródziemnomorski. Ten ostatni jednak rehabilituje dopiero profesor Czekanowski, wedle którego dopiero połączenie obu tych elementów dawało największą siłę wybuchową w historii świata. Stąd też, wedle profesora Czekanowskiego, większa preżność Słowian wschodnich, niż zachodnich.

Specjalnie na uwagę zasługuje rozdział o gockim — wedle profesora Czekanowskiego — początku państwa polskiego, przyczem wskazuje się na nordyczno - śródziemnomorski skład rasowy Gotów czarnomorskich i hipotetycznych założycieli państwa polskiego. Te problemy poruszy zapewne profesor Czekanowski w zapowiadanej pracy następnej — zarysie antropologii dynamicznej.

ŻYDZI

Osobny rozdział w książce profesora Czekanowskiego poświęcony jest Żydom. Charakterystyczny dla ludów semickich typ orientalny dochował się w znacznie większym procencie tylko u Żydów azjatyckich i europejskiej grupy Seferdim. Najbardziej oddaleni są od pierwotnego typu żydowskiego — Żydzi kaukaski. Żydzi środkowo - europejscy: niemieccy i polscy mają taki skład rasowy, jak Niemcy frankońscy. Jest to oczywiście wynik kilkunastowiecznego przebywania tych Żydów nad Renem. Żydzi lwowscy wykazują ponadto silne nawiązanie do laponoidalnych ludów tureckich. Żydzi - studenci uniwersytetu lwowskiego składają się w 20 proc. z nordyków, 12,9 proc. śródziemnomorców, 20 proc. armenoidów, 36,7 proc. laponoidów i tylko 9,9 proc. orientatów.

Ustosunkowanie się wzajemne elementów rasowych u Żydów polskich dowodzi, że nie łączyli się oni nigdy z ludnością polską. Widać, że po przesładowaniach w Niemczech funkcjonowało ghetto dobrze w Polsce. Interesujące też jest, czy Żydzi nie są starsi fizjologicznie od narodów europejskich, czyli czy też niektóre typy mieszane nie są u Żydów już ustabilizowane, podobnie jak to jest u Murzynów. Tego zagadnienia zresztą profesor Czekanowski nie poruszył. Nawiasowo tylko dodam w tem miejscu, że w rasy żydów sefardyjskich w Salonikach rozpoczęła się propaganda wyższości rasowej Sefardim nad Żydami północnymi.

KONKLUZJE

Z książki profesora Czekanowskiego dowiedzieć się i nauczyć można bardzo wiele. Ale nawet ta książka dowodzi, że antropologia musi jeszcze dobrze popracować, żeby dać bardziej wyczerpującą syntezę, dotyczącą zwłaszcza innych części świata.

Zresztą i w Europie jest wiele problemów zaledwie poruszonych. Dobrze jednak, że w tej pozytywnej robocie przoduje światu nauka polska, a w niej szkoła lwowska.

Rolek Marja Emil.

*) Prof. Jan Czekanowski: Człowiek w czasie i przestrzeni (Biblioteka Wiedzy Tom 9, Wyd. Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa.).

Wileński filolog jubilat

Stulecie „Pana Tadeusza”, w którym jest tyle echa z epopei Homera i Wergilijusza, nasuwa nam przed oczy czasy uniwersyteckie Adama Mickiewicza, który z zapalem studiował języki starożytne pod kierunkiem G. E. Grodka. Te tradycje filologiczne wznowił w wskrzeszonym na nowo po wojnie Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie profesor jego od r. 1920, dr. Jan Oko.

Urodzony w roku 1875 w Małopolsce, ukończył gimnazjum i Uniwersytet we Lwowie, studiując filologię klasyczną pod kierunkiem profesorów Cwiklińskiego, Witkowskiego i śp. Kruczkiewicza oraz filologię polską.

Z dniem 1 września 1901 rozpoczął służbę nauczycielską w III gimnazjum we Lwowie. Po złożeniu egzaminu nauczycielskiego w r. 1903 otrzymał posadę nauczyciela rzeczywiście w Stryju, skąd po trzech latach wrócił do VI-go gimnazjum, aby pracować w nim do roku 1920 jako profesor, potem kierownik, a wreszcie jako dyrektor. Kierował zakładem w czasach bardzo ciężkich dla szkolnictwa naszego, w czasach strasznej wojny, gdy szkoła walczyć musiała z różnymi brakami, oraz w pierwszych latach istnienia wolnej Polski, gdy w chaosie powojennym trzeba było budować od podstaw. Wielki jednak dar intuicji i szybka orientacja pomogły dr. Oko wprowadzić zakład na normalne tory pracy i zapewnić mu jak najlepszy rozwój.

Czas wolny od pracy zawodowej poświęca z zamiłowaniem nauce. W r. 1904 wydaje rozprawkę „O powstaniu i znaczeniu formuły Patres Conscripti” (Sprawozdanie Dyrekcji gimn. w Stryju). W roku 1909 uzyskał stopień doktora filozofii, w roku zaś następnym wyjechał jako stypendysta do Grecji i Rzymu. W roku 1911 wyszła z pod jego pióra rozprawka „De senatoribus pedariis” (Sprawozd. VI gimn.), przyjęta przychylnie przez świat filologiczny w Polsce i zagranicą. Za nią poszły inne oraz wydania trzech tragedii Sofoklesa dla użytku gimnazjów, dotąd cieszące się wielkim uznaniem.

Z początkiem stycznia 1920 roku rozpoczął działalność na katedrze filologii klasycznej w Uniwersytecie Wileńskim. W r. akad. 1924/25 bawił w celach naukowych w Rzymie, studiując topografię wiecznego miasta. W roku nast. był prodziekanem, a potem przez 3 lata z rzędu dziekanem Wydziału Human.

Do Wilna przybył z dużym zasobem doświadczenia i wiedzy pedagogicznej, zdobytej w ciągu 20-letniej pracy w szkole średniej. W nowym środowisku walczyć musiał z brakami materialnymi, aby stworzyć sobie warsztat pracy. Powojenna młodzież, która kończyła szkołę średnią w nienormalnych warunkach i nie przynosiła do studiów wyższych odpowiedniego przygotowania, wymagała odrębnego traktowania, zachęty do pracy nad sobą. Tu zajaśniał w pełnym świetle talent wychowawczy nowego profesora.

Jak przed stu mniej więcej laty Grodecki, tak i Oko szerzy wśród szerokiej sfery młodzieży zamiłowanie do świata starożytnego, umacnia kulturę klasyczną w umysłowości polskiej, wypaczoną w czasach zaborów naleciałościami wrogich nam rządów. Umie dobrać sobie uczniów i współpracowników. Założył Seminarium Filologii Klasycznej w odpowiednio urządzonej

lokalu, zorganizował bibliotekę i stworzył sobie grunt, zaczął siać ziarno nauki, które miało wydać stokrotny plon. Gromadzi uczniów i wskazuje im metody pracy, uczy ich czytać dzieła autorów starożytnych i badać źródła kultury klasycznej. Wykładami wprowadza słuchaczy w nieznaną im tajemnicę życia starożytnych i ich ideałów.

Sam wytrwały w pracy, uczy tej wytrwałości przyszłych nauczycieli, aby ci znów krzewili ją w duszach młodzieży. Pod pozorem surowości kryje się u niego gorące przywiązanie i miłość do wychowanków, którzy mu się odwzajemniają podobnymi uczuciami...

Obok wychowawczej drugą domeną jego działalności jest praca naukowa i literacka. Idzie ona w kilku kierunkach. Owoce jego badań naukowych w Rzymie są trzy rozprawy wydane w latach 1926/27. Wyjaśniają one wiele problemów, wiążących się z Forum Romanum, Mowicą i grobem Romulusa. W osobnej rozprawie z roku 1927 omówił kościoły chrześcijańskie na Forum Romanum.

Osobny dział stanowią prace z zakresu literatury rzymskiej. Na czele ich stoi rozprawa z roku 1924 o wpływie Katulla na Horacjusza, o przesłizanej pieśni Katulla o wróbelku kochanki i obszerna recenzja przekładu polskiego tegoż poety z pod pióra Z. Rejsa. W związku z nimi pozostają prace, poświęcone „polskiemu Horacemu”, Maciejowi Kazimierzowi Sarbiewskiemu. Rozpoczynają się one w roku 1922 rozprawą o życiu i dziełach „poety uwięzionego”. Za nią poszły inne, wyjaśniające i ustalające tekst kilku dzieł poety, przede wszystkim „Silviiudów” na podstawie znalezionego przez prof. Oko w bibliotece Seminarium Duchownego Obrządku Łacińskiego w Wilnie rękopisu, który był w posiadaniu Grodka.

Kilka rozpraw poświęcił prof. Oko Wergilijuszowi, jednemu z najwięcej znanych i czytanych na ziemi Wileńskiej autorów łacińskich, którego Mickiewicz

nazwał „naszym przyjacielem Maronem”. Dzieje oświaty ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej są ściśle związane z kultem Wergilijusza, który dostał się tam z hasłami Odrodzenia. Najlepszym tego dowodem są dzieła tego poety, które zachowały się w Bibliotece Uniwersyteckiej cudem — rzecz można — uchodząc zagłady. Pochodzą one z tej biblioteki, którą stworzył w Wilnie Murawiew ze skonfiskowanych po roku 1867 księgozbiorów Litwy i Rusi. Oko zajął się pochodzeniem i dziejami peregrynacji tych starych wydań Wergilijusza, uwagami marginalnymi i notatkami ich obecnych właścicieli, wyciągając z nich wiele wniosków dla skreślenia stanu oświaty ubiegłych wieków. Pisał też o Wergilijuszu w wykładach dawnego Uniwersytetu Wileńskiego od roku 1870 tj. od szkoły przez Jezuitów założonej.

W roku 1931 wyszła rozprawa Oki pt. Paweł Deusterwalt, nieznany humanista XV w. Był to kanclerz biskupa Warmińskiego, wielki miłośnik łaciny, komentator dzieł Cyserona, Wergilijusza, Sallustjusza i Owidjusza. W tymże roku Oko ogłosił artykuł „Nieznane pieśni o zwycięstwie Grunwaldzkim (Ateneum, Wilno), podając analizę wszystkie znane teksty tej pieśni i ustalając poprawne jej brzmienie na podstawie autentycznego tekstu królewskiego. W rok później w rozprawie „Stanisław Żukowski, zapomniany poeta i filolog” na podstawie badań archiwalnych podał biografię Żukowskiego i omówił jego działalność literacką oraz przekład pieśni Safony.

Ostatnie dwa lata, 1933 i 1934, poświęca Oko pracy nad działalnością G. E. Grodka w Wilnie. Z tego zakresu jest kilka rozpraw o jego Seminarium Filologicznym, działalności nauczycielskiej, o Grodka jako numizmatyka, o jego listach w Archiwum Księgarń Zawadzkich w Wilnie i studiach jego nad filologią w Polsce.

Tych prac naukowych, których w krótkim artykule nie można wyliczać, jest razem 36, w języku polskim, łacińskim i francuskim. Zdobył sobie

przez nie prof. Oko trwałą pozycję w świecie naukowym. Należało je pokrótce przypomnieć w tym roku, w którym minęło 30 lat od ukazania się jego pierwszej rozprawy naukowej i 33 lata jego działalności na niwie wychowawczej.

Ma także wielkie zasługi dla organizacji pracy naukowej i Ziemi Wileńskiej. Studium klasyczne pod jego kierownictwem, rozszerzone jego staraniem przez studium archeologii pogłębiane na posiedzeniach Koła Filologicznego Studentów, którego jest Kuratorem i przewodnikiem, oraz na posiedzeniach Koła Polskiego Towarzystwa Filologicznego, którego jest prezesem i gorliwym współpracownikiem, zatacza coraz szersze kręgi i wywiera swój wpływ na cały Wydział Humanistyczny. Jest również członkiem Komisji Filologicznej Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie i członkiem dożywotnim Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.

Przyjaciele jego i wdzięczni wychowankowie urządzają dla uczczenia 30-letnia jego pracy naukowej i wychowawczej obchód jubileuszowy w Seminarium Filologii Klasycznej w Uniwersytecie S. B. dnia 1 grudnia br. o godz. 18-tej. Do serdecznych życzeń, jakie wówczas składać będą Jubilatowi, przylączają się filologowie z kresowej strażnicy lwowskiej. Wielu z nich (wśród nich także podpisany, zna Jubilata z czasów jego działalności we Lwowie, z VI gimnazjum, gdzie jeszcze przed wojną światową kandydaci zawodu nauczycielskiego zaprawiali się do pracy na niwie wychowawczej, przysłuchując się lekcjom wytrawnych pedagogów. A do takich zaliczał się prof. Oko już od początków swej działalności nauczycielskiej. Staraniem filologów wileńskich ukazały się odbitki z czasopisma filologicznego „Kwartalnik Klasyczny” (wychodzącego we Lwowie). Prócz fotografii Jubilata zawierają one hymn łaciński z pod pióra R. Nowowiejskiego i rozprawa o życiu i działalności Jubilata, skreśloną przez p. J. Bobkę, nauczelnika szkół średnich w Kuratorjum Wileńskim.

—X—

„Digby Nr. 23”

Wśród cennych inkunabułów słynnej Biblioteki Bodlejańskiej w Oxfordzie figurował już w początkach siedemnastego wieku niewielki manuskrypt, wymieniony w katalogu jako „Digby Nr. 23”.

Niewielka ta książeczka, o wymiarach 17x12, dziś już porządnie zniszczona, poślizgnięta, miejscami niemal nieczytelna skutkiem wyblaknięcia pisma, — to pierwszy egzemplarz słynnej „Chanson de Roland”, odkrytej dopiero przed stu laty.

Składa się ona właściwie z dwóch dzieł, razem złączonych: z łacińskiego przekładu „Tymeona” Platona oraz z „Chanson de Roland”. Pierwsze obejmuje 55, drugie 72 strony. Całość oprawiona w ciemny pergamin z herbem i dewizą jej poprzedniego posiadacza, sir Kenelma Digby: „Vindica te tibi: Ken. Digby”.

Cały manuskrypt był początkowo własnością opactwa w Oseney w pobliżu Oxfordu, skąd przeszedł w ręce prywatnego kolekcjonisty T. Allena. Ten ostatni testamentem z dnia 23 października 1630 zapisał go wraz z całą swoją biblioteką na rzecz Ken. Digby'ego.

Digby, ur. w roku 1603, zmarły w roku 1665, był nie tylko kolekcjonerem,

ale równocześnie dyplomata, wojownikiem i wielkim miłośnikiem nauk: filozofii, fizyki i alchemii. Napisał też sam cały szereg książek i rozpraw z rozmaitych dziedzin wiedzy, nie mających poważniejszego znaczenia naukowego. Digby bowiem, przy całej swej erudycji, był jednak raczej dyletantem, niż poważnym badaczem.

W roku 1634 — a więc równo trzydzieści lat temu, — podarował uniwersytetowi w Oxfordzie cały swój zbiór manuskryptów, w ilości 241 sztuk.

Miedzy nimi znajdował się też i manuskrypt „Chanson de Roland”, który od tej pory nie opuścił murów biblioteki Bodlejańskiej.

Manuskrypt nie interesował jednak zbytbytno ówczesnych badaczy. Dwaj krytycy angielscy, Tyrwhitt (w r. 1772) oraz Conybeare (w r. 1817) poświęcili mu zaledwie krótkie wzmianki.

Dopiero w czasie francuskiej rewolucji zainteresował się nim bliżej Ks. Gervais de la Rue, który wyemigrował z Francji i osiedlił się w Oxfordzie. Zajął się dokładnym zbadaniem i odcyfrowaniem tekstu; z uwagi jednak na ówczesne stosunki polityczne we Francji wstrzymał się z opublikowaniem wyników swych badań aż do roku 1834.

Ten rok zatem jest rzeczywiście da-

ta odkrycia cennego manuskryptu. Wkrótce potem wyjeżdża do Oxfordu prof. Franc. Michel, który na miejscu skopjował cały manuskrypt i w roku 1837 wydał go w Paryżu w oryginalnej edycji.

Cenny manuskrypt został następnie sfotografowany i poddany badaniu za pomocą promieni ultrafioletowych, celem wykrycia poprawek i uzupełnień dokonanych później.

Jak stwierdzono, „Chanson de Roland” nie jest manuskryptem oryginalnym, lecz został przepisany przez kopystę, prawdopodobnie w dwunastym wieku. Tem się też tłumaczy, że znajdując się w nim liczne stosunkowo błędy i niedokładności.

Manuskrypt kończy się słynnym wierszem:

Ci falt la geste que Turoldus declinet.

Poniżej tego wiersza widoczne są jeszcze ślady pisma, — co nasuwa przypuszczenie, że może przy okazji uszkodzenia cennego manuskryptu, skutkiem czego brakuje zakończenia całego poematu. Przypuszczenie tembardziej uzasadnione, ile, że na ostatniej stronie poematu znajduje się tylko dwadzieścia wierszy.

(R)

—X—

Luigi Pirandello

Na tegorocznym laureacie nagrody Nobla sprawdza się znane przysłowie „nemo in sua patria propheta”. Luigi Pirandello, starszy pan, liczący sobie dziś 67 lat życia, długo i beznadziejnie walczył z dziwnym przedurzeniem i niechęcią, z jaką odnosili się do niego własni rodacy.

Burko jego pęczniało od licznych sztuk, powieści i nowelek, — a sam autor musiał ciężko zarabiać na kawałek chleba, jako profesor w żeńskim gimnazjum w Rzymie. W nim, wiatrem podszytym, płaszczu wędrował codzień z domu do szkoły i z powrotem. Lekcje, potem poprawianie zadań, przygotowywanie się do jutrzejszego wykładu, dom i rodzina...

Znajdował jednak zawsze czas na studia i na pracę twórczą; w błękitnych jego, dziwnie przenikliwych oczach malowała się ufnosć we własne siły, wiara w ostateczne zwycięstwo.

Napróżno ofiarowywał swe sztuki dyrektorom teatrów włoskich. Czytali je, chwalili, — ale nie mieli odwagi ich wystawiać.

Pirandello postanowił próbować szczęścia zagranicą. Wystawił w Paryżu dwie swoje sztuki: jedną w „Atelier”, drugą w „Theatre des Arts”, gdzie dyrektorem był Pitoeff. Sukces przyszedł nagle, błyskawicznie, nieoczekiwanie nawet dla samego autora. I wkrótce każda „szanująca się” scena uważała sobie za obowiązek wystawić jego „Sześć postaci w poszukiwaniu autora”.

Od tego czasu — mniej więcej od roku 1924 — nazwisko Pirandella stało się znanem w całej Europie, nie wyłączając i jego włoskiej ojczyzny...

Natomiast jako powieściopisarz nie cieszy się Pirandello zbytnią poczytnością. Powieści jego sprawiają wrażenie, jakgdyby autor nie potrafił wyzwoić się z zaczerpniętego koła swych „sześciu postaci”, tej nieustannej zamiany ról i osobowości.

Twórczość dramatyczną Pirandella najlepiej może charakteryzować jego własne wywody na temat „sześciu postaci”. Wywody te cytujemy poniżej w skróceniu:

„Widziałem przed sobą człowieka około 50-letniego, o ponurym wyglądzie i oczach zmaconych od tajonych żądz. I biedną matkę w szatach wdowich,

widzącą za rękę 4-letnią dziewczynkę i niespełna 10-letniego chłopca. I zuchwała przedwcześnie dojrzała dziewczynę, ubraną czarno, ale z wyzywającym dwuznacznym zbytkiem, pałającą z nienawiścią i pogardą na lubieżnego starca i młodego około 20-letniego człowieka, stojącego na uboczu...”

Jednym słowem — owe sześć postaci, które pojawiają się na scenie z początkiem sztuki. Zaczęły mi opowiadać swe smutne koleje losu, starając się przekrzyczeć wzajemnie...

Któryż pisarz potrafi wyjaśnić, jak i dlaczego jakaś „postać” powstała w jego fantazji? Tajemnica twórczości artystycznej podobna jest do tajemnicy tworzenia w naturze... Mogę tylko powiedzieć, że te sześć postaci — choć ich nie szukałem; widziałem przed sobą jak żywe, — tak jak się je teraz widzi na scenie.

Jako pisarz o charakterze raczej filozoficznym, w obrazie, który musi zo-

stać żywym i swobodnym w swym wyrazie, muszę jednak szukać jakiegoś sensu, nadającego mu wartość.

Tego sensu nie udało mi się odnaleźć w mych „sześciu postaciach” — i dlatego uważałem, że nie warto pozwolić im dalej żyć... Ale nie nadarmo daje się jakiejś „postaci” życie! Byłem przez nie jakgdyby opętany. Aż nagle, błyskawicznie znalazłem sposób, jak się od nich uwolnić: niechaj idą tam, dokąd zwykle idą postacie dramatyczne by nabrać życia: na scenę! Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Przyszło naturalnie to, co przyjąć musiało: jakaś mieszanina tragizmu z komizmem, fantazji z rzeczywistością, w nowej, niesłychanie zawiłej formie.

Chciałem przedstawić sześć postaci w poszukiwaniu autora. Nie udało się to właśnie dlatego, że brakuje tego szukanego przez nie autora. Dałem im życie, ale zaparłem się ich celu życia... (R.)

Hiszpanja z gołą głową

U nas mantylą nazywała się damska pelerynka, niekonieczne nawet obścierta koronkami. W Hiszpanji, ojczyźnie wyrazu i rzeczy, było to koronkowe nakrycie głowy, malowniczo drapowane na wysokiej damskiej fryzurze. Właściwie powstało ono w XVII wieku, ale wówczas było z innego materiału. Koronkowe mantyle, jak dowiadujemy się z ogłoszonego niedawno dziełka Don Josego Romeza Cuesty, pojawiły się i były w powszechnym użyciu dopiero w XIX wieku.

Obecnie znikły prawie zupełnie. No, si się je tylko podczas uroczystości, jak śluby lub tradycyjne obchodzenie siedmiu kościołów w Wielki Czwartek. Wyrabia się je z materji półjedwabnej, są zaś wcale drogie. Mantyla średniej jakości kosztuje ponad 60 zł, a te są i mantyle po 300 i 400 zł.

Naszej mantyli odpowiada poniekąd mantón de mantilla, ozdobny hiszpański szal, zwykła barwny, a noszony na wieczornych przyjęciach i zabawach.

Bardziej rozpowszechniona jest w t. j. niewielki zwitek czarnej gazy. Noszą ją na głowie w Madrycie kobiety ze wszystkich klas, szczególnie idąc do kościoła. Z gołą głową nie wypada chodzić, a kapelusz w kościele trzebaby zdejmować — i nawet zdarzało się, że księża odmawiali komunji

św. kobietom w kapeluszach. Z tego powodu wela stanowi doskonale pośrednie nakrycie głowy.

Zresztą kapelusz uchodzi u poci pięknej za przywilej wyższych klas społecznych. Stąd nawet przyjęło się wyrażenie *senorita de sombrero* (kapelusznica panna).

Wróćmy jeszcze do mantyli. Przed jakimś sześćdziesięciu laty nabrała ona politycznego znaczenia. Na tronie zasiadł Amadeusz Sabaudzki, niepopularny jako cudzoziemiec. Damy z arystokracji chciały jemu i królowej okazać swe lekceważenie obcej mody i przywiązanie do hiszpańskiego obyczaju, zarzuciły więc kapelusze i chodziły w mantylach.

Jak dawniej, tak obecnie, Hiszpanja wogóle nie jest krajem, któryby spotrzebowywał znaczne ilości damskich kapeluszy. W ostatnich czasach przyjęła się także między mężczyznami usprawiedliwiona moda, zdrowa i praktyczna moda chodzenia z gołą głową.

W związku z tem udała się do ministra przemysłu i handlu deputacja, złożona z sześciu robotników, zatrudnionych po fabrykach kapeluszy. Domagali się oni wydania prawa, że każdy Hiszpan obowiązkowo musi poza domem chodzić w kapeluszu. Minister odpowiedział, że sam czyni to jedynie w wypadkach uroczystych.

—x—

Cukrzyca i promienie ultrafioletowe

W ostatnich czasach podejmowano kilkakrotnie próby stosowania promieni ultrafioletowych w leczeniu cukrzycy, wychodząc z założenia, że wywierają one duży wpływ na zawartość cukru we krwi.

W tym kierunku przeprowadzono w kilku szpitalach angielskich szereg systematycznych prób i doświadczeń. Diabetyków poddawano działaniu promieni ultrafioletowych przez rok cały, pod ścisłą, codzienną kontrolą.

Wynik był zupełnie negatywny: pokazało się, że promienie ultrafioletowe w podobnych wypadkach nie mają żadnej wartości leczniczej.

Deszcze i śmiertelność dzieci

Na podstawie obserwacji i zapisów przeprowadzonych przez paryską Akademię lekarską stwierdzono, że najwyższy procent śmiertelności wśród dzieci występował w okolicach, gdzie powietrze przesycone jest wilgocią skutkiem częstych opadów deszczowych.

Decydującą rolę gra tu właśnie częstota opadów, nie zaś ich nasilenie.

Rola migdałków w organizmie

Nowe, interesujące spostrzeżenia co do roli migdałków w organizmie ludzkim przynosi niemiecki lekarz dr. Peller, który przeprowadził badania na 30 tysiącach dzieci i młodzieży w wieku od 14 do 16 lat.

Stwierdził mianowicie, że dzieci, którym wycięto migdałki, rosną i dojrzewają znacznie szybciej. Natomiast dzieci cierpiące na przerost migdałków były z reguły niedorozwinięte, niższe i wykazywały mniejszą wagę od ich normalnych rówieśników.

Obserwacje te wskazują, że migdałki są organami o wydzielaniu wewnętrznym, posiadającymi pewien hamujący wpływ na wzrost i dojrzewanie młodzieży.

W Moskwie znikają dorożki

Stolica Sowietów europeizuje się w szybkim tempie. Znikają pomału z ulic typowe dorożki ze swymi brodatymi „żwoszczyków”, składające się na jeden z elementów oryginalnych i charakterystycznych dla Moskwy.

Miejsce ich zajmują dorożki samochodowe, których ilość wzrasta równolegle z ubytkiem pojazdów konnych.

Podczas gdy w ostatnich latach przed wojną ilość dorożek konnych w Moskwie przekraczała 14 tysięcy, — spadła ona w roku 1933 do 1750, a z dniem 1 stycznia br. do 597.

Przy ostatnim spisie, przeprowadzonym dnia 1 czerwca br. naliczono już zaledwie 411 dorożek konnych.

Niedaleka już zatem wydaje się chwila, kiedy z ulic Moskwy znikną ostatnie dorożki konne.

Feljeton przyrodniczy

POLNIK KARPACKI

W listopadowym zeszytzie miesięcznika „Przyroda i technika” podaje L. Sagan ciekawe wiadomości o nowym gatunku gryzonia, występującym w partjach wysokogórskich Czarnohory, jak również w okolicach Morskiego Oka i Czarnego Stawu.

Zwierzątko to, o ubarwieniu buroszarem, z rudą naleciałością, spodem białawem z odcieniem niebieskawym, żyje na wysokości 1200 do 1800 mtr., budując sobie nory w kurytarzach między skałami. Żywi się liśćmi i jagodami borówkami, oraz szczawiem.

Jak wykazały badania, zwierzątko to należy do gryzoni z rodzaju nornika, w obrębie którego zoolog angielski G. S. Miller wydzielił na podstawie pewnych cech anatomicznych osobny podrodzaj *Chionomys*. Jeżeli zatem oprzemy się na tym podziale, to będziemy mieli w danym wypadku nowy podrodzaj dla fauny polskiej.

Występująca u nas odmiana, nazwana przez prof. E. Niezabitowskiego „*Chionomys karpacki*” (*Chionomys ul-*

pius Miller), spokrewniona jest z podobnymi odmianami gryzoni, żyjących w Alpach, Pirenejach i w połudn. Siedmiogrodzie.

Polnik karpacki uważać należy za zwierzę rzadkie, żyje bowiem na małym stosunkowo obszarze, jaki zajmuje w Polsce kraina wysokogórska.

WEŻE I JASZCZURKI OFIARA MODY

Od paru lat ofiarą mody padają corocznie miliony płazów, których skóra przerabia się na pantofelki, torebki, paski itp. Moda ta zataczała tak szerokie kręgi, że rządy angielski i holenderski zmuszone były wydać formalny zakaz masowego chwytania wszystkich gatunków węzów i jaszczurek, którym groziło kompletne wyginięcie.

Doświadczenie zresztą pouczyło, że takie masowe tępienie tych płazów grozi zachwianiem naturalnej równowagi w przyrodzie. Stwierdzono np., że w Indiach plaga szczurów dała się dotkliwie we znaki, z chwilą, gdy rozpoczął się masowy polów płazów dla celów handlowych.

Obecnie stosunki te uległy znacznej poprawie. Z węży padają ofiara mody: groźny okularnik, boa, anakonda, oraz rozmaite odmiany olbrzymich pytonów, — przedewszystkiem żyjący w Indiach holenderskich *Python reticulatus*, dochodzący do 10 mtr. długości.

O barbarzyńskim sposobie ściągania żywcem skóry z tych węzów opowiada lekarz dr. Kopstein, który spędził siedm lat w Indiach holenderskich. Wezła przytwardza się do drzewa zapomocą dużego gwoźdźca, whitego w czaszkę. Następnie nacina się skórę poza czaszką i obdziera się go żywcem ze skóry.

O ile idzie o jaszczurki, to najładniejsze skóry dostarczają duże jaszczurki z gatunku *Varanus*, żyjące w Indiach holenderskich i w Afryce północnej. Ofiarą bezmyślnej a barbarzyńskiej mody padają też piękne duże leguany (*Iguana tuberculata*), znane w handlu pod niewłaściwym mianem „Kameleona”.

Wreszcie wspomnieć należy jeszcze o skórze „krokodylej”. Przeważnie jest to wyprawiona odpowiednio skóra aligatorów, hodowanych na wielką skalę w tym celu w specjalnych farmach, —

aligatory bowiem zostały w Stanach Zjednoczonych już niemal doszczętnie wytępione, a niedobitki ich kryją się w niedostępnych bagnistych puszczach Florydy.

Pocieszajmy się nadzieją, że moda na skóry jaszczurek, węży i krokodyli przemienie wkrótce, zanim poczyni większe spustoszenia w świecie płazów, które w ogólnej celowej gospodarce przyrody mają również swoją rolę do spełnienia, tępląc masowo rozmaite szkodniki, owady i drobniejsze gryzonie.

ZALESIENIE WEZUWJUSZA

Według Pliniusza był w starożytności cały Wezuwiusz pokryty gęstym lasem. Rabunkowa gospodarka jednak oraz strumienie lawy spływającej za każdym wybuchem po zboczach góry, sprawiły, że zieloność ta z czasem zniknęła zupełnie.

Obecnie rząd włoski przystąpił do planowej akcji zalesienia Wezuwiusza, — przyczem w rachubę wchodzi przede wszystkim pewna specjalna odmiana karłowatego dębu, specjalnie odporna na trujące wyziewy z krateru, a rosnąca doskonale na tem podłożu wulkanicznego popiołu.

(k. r.)